

TADEUSZ KRYZIA

Po jakież to lichy
ja tu przybyłem



Copyright FH Witospol

Redakcja, korekta językowa: KRM

Zdjęcie na okładce, projekt graficzny, skład: Paweł Zechenter

ISBN 978-83-946702-0-7

Wydanie I, Wola Radłowska 2017

PO JAKIEŻ TO LICHO
JA TU PRZYBYŁEM

wiersze

Urodziłem się i wychowywałem na Woli Radłowskiej – rodzinnej miejscowości Tadeusza Kryzi. Gdy byłem dzieckiem, o nim i o jego bracie Franciszku mówiło się źle, albo wcale. Może wynikało to z lęku przed represjami ze strony władzy komunistycznej. A może lokalna społeczność w znacznej części uległa ówczesnej propagandzie, która zrobiła z nich bandytów?

Żałuję, że ich nie poznałem – szczególnie Tadeusza. Człowieka, któremu nie dane było się uczyć ani studiować. Którego młodość to partyzantka, ukrywanie się, areszt, a po wyjściu na wolność życie w biedzie i stałej inwigilacji SB. Poetę, który nie miał w życiu warunków do szlifowania talentu.

Poznaję Tadeusza dopiero teraz – czytając Jego wiersze w których opowiada o swej historii, dzieli się przemyśleniami na temat życia, wartości którymi się kierował, czy obawami przed tym co przyniesie przyszłość. Nie mnie oceniać walory poetyckie jego twórczości. Czytam te wiersze jako zapis doświadczeń człowieka wplątanego w okrutne tryby historii.

Żałuję, że nie wiedziałem w jak trudnych warunkach materialnych żyje Tadeusz Kryzia w latach dziewięćdziesiątych. Moja firma wtedy się rozwijała, wspierałem wiele osób i inicjatyw, na pewno pomógłbym też Tadeuszowi.

Dopiero ostatnie lata, niestety już po śmierci Tadeusza, to okres odkrywania jego historii i twórczości. Dzięki działalności burmistrza Radłowa Pana Zbigniewa Mączki oraz niestrudzonej i kompetentnej pracy Pani dr Marii Żychowskiej postać Tadeusza Kryzi przywracana jest pamięci społecznej.

Chcę i ja włączyć się w ten proces wydając dotychczas niepublikowane wiersze Tadeusza Kryzi, żołnierza wyklętego, z okazji 25 lat działalności mojej firmy Witospol.

Józef Szawiec



Panu Krzysztofowi Kryzi dziękuję bardzo za nieodpłatne przeniesienie praw autorskich do wierszy ojca Tadeusza Kryzi na firmę Witospol, oraz życzliwość i wsparcie przy tworzeniu niniejszego tomu.

Pani dr Marii Żychowskiej, niestrudzonej w odkrywaniu tajemnic najnowszej historii ziemi radłowskiej, dziękuję za słowo wstępne przybliżające postać Tadeusza Kryzi i jego brata Franciszka.

Panu Zbigniewowi Marcinkowskiemu dziękuję za udostępnienie zdjęć i materiałów ze zbiorów biblioteki w Radłowie oraz współpracę przy redagowaniu niniejszego tomu.

Józef Szwiec
Witospol

Zbiory „Radloviana” Miejsko-Gminnej Biblioteki Publicznej w Radłowie wzbogaciły się o ważną, niepublikowaną dotąd literacką i poetycką twórczość Tadeusza Kryzi z Woli Radłowskiej – Żołnierza Wyklętego, prawdziwego patrioty, człowieka nieugiętego, z życiowymi zasadami. Z inicjatywy Konrada Rudzińskiego 15 kwietnia 2016 r., syn autora Krzysztof Kryzia, oficjalnie przekazał literacką ojcowską spuściznę bibliotece.

Cechą charakterystyczną twórczości Tadeusza Kryzi jest przede wszystkim lokalność poruszanych tematów oraz trudnych lat okupacji i okresu powojennego. Jak już wiemy, w tym okresie sam autor był więziony, w sposób wyrafinowany upokarzany przez tzw. władzę ludową. To wstrząsający obraz czasu i ludzi, którzy taką właśnie historię stworzyli.

Twórczość Tadeusza Kryzi dostępna jest w czytelni radłowskiej biblioteki dla wszystkich zainteresowanych. Jest autentycznym źródłem lokalnej informacji sprzed kilku dekad i może być przyczynkiem do wielu opracowań historycznych nieodległej, ale jakże skomplikowanej historii ziemi radłowskiej.

Zbigniew Marcinkowski

Gminne Centrum Kultury i Czytelnictwa w Radłowie

SŁOWO WSTĘPNE

DR MARIA ŻYCHOWSKA

Tadeusz Kryzia był najmłodszym z siedmiorga rodzeństwa, synem Jana i Wiktorii z d. Cholewa, urodzonym w Woli Radłowskiej, pow. Brzesko.

Szkołę Podstawową ukończył w rodzinnej wsi. Potem pomagał rodzicom w gospodarstwie. Należał do Związku Strzeleckiego. Gdy wybuchła II wojna światowa miał 16 lat. Trudne przeżycia wojenne całego Powiśla Dąbrowskiego, cierpienia ludności, zniszczenia materialne i gorycz zniewolenia, ukształtowały charakter młodego chłopca, wywołując uczucie buntu wobec agresora. Tadeusz był sam zbyt młody, by włączyć się w ruch konspiracyjny. Ale gdy starszy brat Franciszek, żołnierz AK o ps. „Wrona”, „Czesław”, został wytypowany do wyjazdu na przymusowe roboty do Niemiec, pojechał zamiast niego uważając, iż brat jest bardziej potrzebny w polskim podziemiu.

Powrócił po zakończeniu wojny z nadzieją, że Ojczyzna została wyzwolona. Żłudzenia prysły szybko. Dokonujące się przeobrażenia ustrojowe

pod terrorem nowego okupanta sprawiły, że dołączył do brata, który kontynuował walkę o niepodległość w ramach miejscowej „Armii Wyzwolenczej”, włączonej potem w Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość. Mimo topniejącej liczebnie garstki działającej w lasach radłowskich, obydwaj bracia – jakkolwiek ujawnili się oddając cześć broni – trwali nadal przy trzecim, ostatnim dowódcy oddziału Józefie Jachimku, „Stalinie”, którego w różny, ale bezskuteczny, sposób usiłowano zgładzić. Po jego śmierci ukrywali się. Ale czas mijał, a spodziewana III wojna światowa nie nadchodziła. Trzeba było niezwykłego hartu ducha, by w tej sytuacji tułać się nadal po lasach, bunkrach ziemnych, stodołach i kryjówkach. I tak to trwało przez pełnych 10 lat – od 1948 do 1958 roku.

Tadeusz w tym czasie usiłował wyrazić swoje uczucia poprzez wiersze. Odnosząc się do trudnej sytuacji politycznej, którą okupant nazywał „wyzwoleniem” pisał:

Mozolił się okupant, zdrajcy się mozolą
jakby się tu uporać z minioną niewolą,
Jak zdradę w rytm wolności delikatnie wcielić,
by tyranię, przemoc wygładzić, wybielić

Dziwił się też, że mimo otaczającego zła, rodacy często pozostają bierni.

Jak pięć atmosfer w głowę mi się ciśnie:
dlaczego wokół nikt ani nie piśnie,

Po październikowej odwilży i ponownym powrocie władzy do utrwalania systemu, bracia Kryziowie zdecydowali się na oficjalne ujawnienie, pisząc dwukrotnie list do Rady Państwa, że pragną ujawnić się by normalnie

żyć. W wyniku tego 26 lipca 1958 r. wieś Wołę Radłowską okrążyło dwadzieścia samochodów z wojskiem, MO, ORMO, UB. Prasa triumfalnie donosiła o ujęciu przez Służbę Bezpieczeństwa i MO, długo poszukiwanej „bandy rabunkowej”. Aresztowanych groźnych „bandytów” zawieziono do aresztu KWMO w Krakowie przy ul. Siemiradzkiego.

W czasie rewizji domowej skonfiskowano wiersze Tadeusza, gdyż miały tło polityczne. Dziwni to doprawdy „bandyci”, którzy sami oddali się w ręce oprawców, a młodszy z nich swoje wrażenia po przyjeździe do Krakowa, w którym był po raz pierwszy, wyraził w taki oto sposób:

Nie myślcie, że wylewam smutki, troski, żale,
bo tych dawno mi brakło. Wiecie doskonale.
Ale chciałem utrwalić to czucie i słowa
kiedy nas wywożono z Brzeska do Krakowa.
(...)
Nagle brzękły kajdany tak dziwnym szelestem,
że nie wyrażę myślą, słowem ani gestem.
(...)
aż wreszcie zobaczyłem te prastare mury,
Kraków. Ach, jakże dziwne, dziwne miałem czucie,
Widziałem – Twardowski jechał na kogucie,
właśnie z Krzemionek wracał, gdzie odwiedzał czarta.
(...)
A w każdym kościele
Biły dzwony, dzwoneczki z Zygmuntem na czele.

Dziwny „bandyta”...

Napisał też apel do Polaka

Polaku, kiedy siądziesz i spojrzysz w niebiosy,
podumasz nad Ojczyzną i zważysz Jej losy
Pamiętaj, że to prawda. Nie słuchaj gagatka,
Bo twa Ojczyzna, twoja druga matka
przez długie wieki bywała przykładem,
Innym świeciła wzorem, porządkiem i ładem,
wszelką tolerancją: słowa, myśli, wiary.
Ale nie wnika, synu jakie masz zamiary.
Choć na obcym bagnecie – jej narodem władasz.
Lecz gdy bagnet się złamie i władzę postradasz?

Funkcjonariusze konfiskujący zakazaną bibułę nie przeanalizowali ostatnich słów tego wiersza:

Wiedz, że z prochu powstałeś twej ojczystej ziemi,
i jeśli nadal chciałbyś mieszkać między swymi
obce ideologie precz odrzuć od siebie.
Będziesz mile widziany w Ojczyźnie i w niebie.

Ten szczególny akt ówczesnego miłosierdzia nie przekonał jednak ubeków.

O zwrot skonfiskowanych wierszy upomniał się Tadeusz po 3-letnim pobycie w więzieniu w Barczewie ale bezskutecznie, gdyż za to groził mu oddzielny proces. Prokuratura Wojewódzka w Krakowie zrezygnowała jednak z postępowania karnego, ograniczając się tylko do konfiskaty, ponieważ wiersze powstały przed 1956 rokiem i nie były publikowane, *jakkolwiek mogły wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego.*

Zgłaszając się dobrowolnie i pozwalając się ująć, bracia sądzili, że będą mogli odpowiadać z wolnej stopy. Ale władza ludowa nie miała takiego zwyczaju. Dnia 4 sierpnia 1958 r. Tadeusz w imieniu swoim i brata zwrócił się więc do Generalnej Prokuratury z zażaleniem, wyjaśniając równocześnie powód posiadania broni. Pisał, że otrzymując broń jako członek Armii Wyzwoleńczej do obrony Ojczyzny *w okresie kiedy na czele Armii Polskiej stanął jako wódz człowiek obcy: Rokossowski* ma prawo do jej posiadania. I dalej: *Wszyscy zśliśmy choć różnymi drogami do jednego celu: do Wolności i Niepodległości Ojczyzny... Dwa razy namawiano mnie do morderstwa a zwłaszcza w 1948 r. kiedy przyjechał do mnie szef Bezpieczeństwa i w zamian za wolność namawiał mnie do mordowania moich kolegów, również członków AK. Szanując honor Polaka i Ojczyzny, woląłem wybrać tułaczkę, ponieważ przez wiele lat, niż otwarte morderstwa.*

Istotnie, w czasie 10-letniego ukrywania się braci, doszło do spotkania z szefem Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Brzesku Janem Helbinem, który namawiał ich do utworzenia własnego oddziału, któremu dostarczy broń, by mogli bezkarnie okradać sklepy i ludzi, nawet bić członków PPR ale najbardziej zależało mu na wydaniu lub likwidacji Józefa Jachimka, ostatniego dowódcy zdziesiątkowanej Armii Wyzwoleńczej. Obiecywał za to *posady, pieniądze i co jeszcze chcecie... Zabezpieczymy byt żonie, matce, wszystkim...* Bracia Kryziowie wybrali jednak wtedy dalszą tułaczkę w nadziei na jakąś zmianę losu, która nie nadeszła. Mieli pełną świadomość tego, że wokół ich domu (w którym mieli ostatni schowek) nieustannie kręcą się „informatorzy”, obserwujący z uwagą rodzinę i donoszący do PUBP w Brzesku.

Po dwuletnim procesie, obydwaj bracia zostali osądzeni przez Sąd Wojewódzki w Krakowie i skazani 22 czerwca 1960 r. Franciszek, jako były żołnierz AK i organizator „piątki” WiN-owskiej na 10 lat więzienia, a Tadeusz na 6, po zastosowaniu amnestii na 3 lata więzienia.

W nowej sytuacji Tadeusz tworzył nadal, pisząc „Z więzienia”:

Jakżem o Ciebie Polsko, nie walczył w swym życiu?
Słowem, sercem, uczynkiem, jawnie i w ukryciu,
młodością, zdrowiem, pragnieniem i głodem,
pogodą, słotą, spiekotą i chłodem.
Walczyłem ciałem, na śmierć słałem ducha,
aż mnie czerwona zdrajców zawierucha
od powietrza, wolności, odgradziła murem.
Ale nic nie trwa wiecznie. Powalczę i piórem.

Tadeusz wyszedł z więzienia w Barczewie 26 lipca 1961 roku. Franciszek odbył pełną karę 10 lat w więzieniu na Montelupich i w Strzelcach Opolskich. Wyszedł także 26 lipca, 1968 roku. Prawdopodobnie był ostatnim Żołnierzem Wyklętym w Polsce wychodzącym na wolność.

Tadeusz powrócił do rodzinnego domu pomagając rodzicom w gospodarstwie rolnym. Zatrudnił się też jako dozorca w Zakładzie Eksploatacji Kruszywa w Ostrowiu. W 1964 roku założył rodzinę, poślubiając Józefę Bogacz ze Śmigna, w 1968 r. urodził się im syn Krzysztof.

Mimo trudnego życiowego doświadczenia zawsze interesował się sytuacją polityczną w kraju, nie pozostając obojętnym na dokonujące się wydarzenia. Nic więc dziwnego, że w historycznym już 1980 roku wstąpił do „Solidarności” wierząc, że tym razem Ojczyzna odzyska pełną suwerenność. Wraz z obudzoną nadzieją na polityczną zmianę, odrodził się jako poeta.

W czasie obrad Okrągłego Stołu napisał pełen nadziei wiersz i przesłał go obradującym. Otrzymał za to podziękowanie od Henryka Wujca. Po latach wspomina: *posłałem wiersz do Komitetu przy „Okrągłym Stole”. Wtedy mi się nie marzyło, że Okrągły Stół to fikcja.* Bardzo szybko zorientował

się, że ten ruch solidarnościowy, który stał się nadzieją wielu uciemiężonych krajów, został wykorzystany i przekierowany przez komunistycznych ekspertów. Na swojej starej maszynie, na której pisał kiedyś antyreżimowe ulotki, wystukiwał kolejne wiersze, pełne rozgoryczenia.

Dwadzieścia pięć lat temu byli solidarni,
a dzisiaj szum jak w ulu, skowyt niby w psiarni.
Jednego, biedni zdrajcy, tu nie przewidzieli.
Zdało im się, że czas wszystko wymaże, wybieli,
uczyni z nich baranki, pokorne owieczki...
Może by i tak było, gdyby nie te teczki,
których zniszczyć nie mogli, czy brakło im chęci.
Ale kiedy już powstał Instytut Pamięci,
że Naród jak najbardziej zajmie się tym zgodnie
odkrywając usługi i zdrady i zbrodnie,

Zastanawiał się jaka będzie przyszłość naszego kraju, tak bardzo doświadczonego, pytając:

Trzecia Rzeczpospolita dokąd nas prowadzi?
Wszyscy o to pytają, radzi i nie radzi. (...)
orzeł biały co prawda otrzymał koronę,
rozpiął skrzydła. I nie wie w którą lecieć stronę,
na wschód czy na zachód, czy pozostać w kraju?
Czując się roztargnionym jak zła dusza w raj.

W wierszu „Kombatant” z ironią pisze o tych, którzy nie mając żadnych zasług dla Ojczyzny, dzięki świadectwu „lewych świadków” zostali uznani za kombatantów i bohaterów.

Posiadając szczególne poczucie godności narodowej wynikającej ze znajomości naszej historii, czuł się jako Polak głęboko upokorzony, gdy władza ludowa stale obwiniała nas, Polaków o różnego rodzaju przestępstwa a kolejni przywódcy polityczni przepraszaali sąsiadów za niepopelnione winy. Wyraża to wiersz „Przepraszamy”.

Nie trzeba tu powtarzać, wszyscy bowiem wiemy
jak biedni my, a grzeczni, przepraszać umiemy:
Żydów, za to, że przecież byli Polakami,
Hitlerowców, że nigdy nie chcieli być z nami
Rosjan, że z pół kraju nas oswobodzili
do tego lat pięćdziesiąt byli tacy mili.

Żył z rodziną w skrajnie trudnych warunkach, gdyż wcześniej przekazał na rzecz Skarbu Państwa ziemię ale bez domu (a takie wówczas były wymogi) wobec czego nie otrzymywał żadnej renty, natomiast podatki narastały. Jedyny syn Krzysztof mając już swoją rodzinę utrzymywał rodziców dojeżdżając z Tarnowa.

Nie przyjął odszkodowania za lata więzienia uważając je za zbyt niskie. Niemal do końca życia pisał w tej sprawie odwołania do różnych instytucji – nawet unijnych – próbując dochodzić swych praw. Po śmierci żony, rozgoryczony, zmęczony, niedowartościowany, sam zdecydował, że jego życie już się wypełniło. Odszedł w wieku 82 lat w 24-tą rocznicę stanu wojennego – w nocy z 13/14 grudnia 2005 roku.

Godny, by o Nim, o Bracie, o Wszystkich „niepokornych” z kolejnego polskiego powstania lat powojennych powiedzieć Jego słowami:

CHYLĘ CZOŁA PRZED WAMI ŻOŁNIERZE WYKLĘCI,
OJCZYŹNIE TYM JESTEŚCIE, CZYM DLA WIARY ŚWIĘCI.

I.

NIE ZNASZ POTĘGI PIÓRA

Z WIĘZIENIA

Jakżem o Ciebie Polsko nie walczył w swym życiu?
Słowem, sercem, uczynkiem jawnie i w ukryciu,
młodością, zdrowiem, pragnieniem i głodem,
pogodą, słotą, spiekotą i chłodem.
Walczyłem ciałem, na śmierć stałem ducha
aż mnie czerwona zdrajców zawierucha
od powietrza, wolności odgrodziła murem.
Ale nic nie trwa wiecznie, powalczę i piórem.

NIE ZNASZ POTĘGI PIÓRA

Nie znasz potęgi pióra, które prawdę pisze,
rakiety w pył rozprasza, dział wymusza ciszę.
Całe życie wspominam, ciężkie, marne, skromne.
Lecz tego dnia ja w życiu nigdy nie zapomnę
gdy ostatni druh walki odchodzi, umiera.
Mnie samego, jak zwykle, starość przecież zżera,
źle mi, ciężko, okrutnie, plugawo, ponuro.
I w takiej oto chwili przypominam pióro,
które to dawniej w strofach wylewało żale,
a dzisiaj gdzieś w rupieciach rzucone niedbale.
Rzuciłem go, bo wtedy byłem jeszcze młody.
Bez bólu mogłem dźwigać trudy, niewygody,
zapominać, przebaczać, kłamać swego ducha.
Ale gdy ostatniego śmierć zabrała druha
biorę pióro z lamusa, niech skrobie, niech pisze
aby wiatry wolności rozproszyły ciszę.
Życie dla niego było jak rosa na trawie.
Służąc Ojczyźnie wiedział – służy dobrej sprawie.
Był i polskim żołnierzem i żołnierzem świata
i tak mu przeleciały całe młode lata.

Lecz czyż mu ktoś współczuje, poduma, zaprzeczy?
Jak świat długi, szeroki nie masz gorszej rzeczy
kiedy to duch wolności znajdzie się w niewoli
– nie każdy wie jak szarga, jak gnębi, jak boli.
Dla jednych ci niewola wolnością jest raczej
Oni to dziwnie rozumieją, inaczej,
że niewola to kajdan, który wiecznie dzwoni
a prawdziwy niewolnik nosi go na dłoni.
Ale kiedy już luzem na smyczy puszczoney
nie ma żadnej niewoli. Ona z drugiej strony.
Tak pismacy przez lata pisali bez liku,
ale chciej mi uwierzyć drogi czytelniku
ten, co przeżył, widział uprzejmie ci radzi
że prawdy czytać także nie zawadzi.

MOJA KOCHANA

Moja kochana, to nie z mojej winy.
Nie bierz mi za złe, nie rób sobie drwiny.
Nie chcę ci przysiąc na jednego Boga
gdyż sama widzisz moja miła, droga
– nie mam ja myśli, lecz myśli mnie mają.
Gdy piszę prozą, rymy się składają.

PO CO?

Nie pisałem dnia całe,
nie pisałem nocą.
Mogłem napisać tomy,
ale myślę – po co?

II.

KŁADLI ŻYCIE I MŁODOŚĆ BY NIEWOLĘ SKRÓCIĆ

ŻOŁNIERZE WYKŁĘCI

Chylę czoła przed wami żołnierze wykłęci.
Ojczyźnie tym jesteście, czym dla wiary święci:
słońcem, gwiazdą przewodnią i perłą narodu.
Wy na stos rzuciliście swe życie za młodu.,
Wy! Awangarda! Jak miny piechotne,
Jak mur, jak granit, a nie piaski lotne,
szliście za głosem serca i na rozkaz duszy.
Tej prawdy historia nigdy nie zagłuszy.
Choć zdrajcy, słudzy obcych w bezsile i złości
jak dzicz wściekła gnębili i łamali kości,
a który z was żył jeszcze i pozostał cały,
ślali was na zagładę budować kanały.
Mam was w pamięci druhy pierwszego plutonu,
co drążyliście kanał od Wołgi do Donu
i z dna kanału w niebo poszły wasze dusze.
Choć ta gorycz mnie dusi, lecz wspomnieć was muszę
bo ja wciąż jeszcze żywy: marzę, słucham, patrzę.
Jak wam mam opowiedzieć, co ja tutaj znaczę?
A znaczę, bo wszędzie jest to zaznaczone,
żem obcym służyć nie chciałem, w polską szedłem stronę.
Odczułem to, gdy niepodległość już zaczęła świtać
– zamiast mi podziękować, współczuć i powitać,
głowy na dół spuścili. Zamknęli oczy, uszy,
zewnątrznie się zhańbili, a co czują w duszy?

POLAKU!

Polaku, kiedy siądziesz i spojrzysz w niebiosy,
podumasz nad Ojczyzną i zważysz Jej losy
pamiętaj, że to prawda. Nie słuchaj gagatka,
bo twa Ojczyzna, twoja druga matka,

przez długie wieki bywała przykładem.
Innym świeciła wzorem, porządkiem i ładem,
wszelką tolerancją: słowa, myśli, wiary.
Ale nie wnikiem, synu, jakie masz zamiary.
Choć na obcym bagnecie – jej narodem władasz.
Lecz gdy bagnet się złamie i władzę postradasz?
Bo to właśnie chęć władzy oczy ci zakryła...
Ojczyzna pozostanie taką jaką była!
Bo Jej grunt jest jałowy, takie moce kryje,
Że każda obcość tutaj zginie, nie przeżyje.
A więc zaniechaj tego, wstrzymaj swe zapędy,
boczną drogę wybrałeś i nie dojdiesz tędy.
Wiedz, że z prochu powstałeś w twej ojczystej ziemi,
i jeśli nadal chciałbyś mieszkać między swymi
obce ideologie precz odrzuć od siebie.
Będziesz mile widziany w Ojczyźnie i w niebie.

KRAKÓW SIEMIRADZKIEGO I*

Nie myślcie, że wylewam smutki, troski, żale
bo tych dawno mi brakło. Wicie doskonale.
Ale chciałem utrwalić to czucie i słowa,
kiedy nas wywożono z Brzeska do Krakowa:
słyszałem odgłos kroków, drzwi się otworzyły,
coś piknęło pod sercem, a nogi mi drgnęły.
W drzwiach stało kilku ludzi i tu się nie myślę,
że byli w uniformach, byli i cywile.
Więźniem jesteście! Jeden rzekł ściśnionym głosem.
No cóż miałem powiedzieć, pociągnąłem nosem.
Wcześniej o tym wiedziałem i nie tak zbyt mało,
gdy dziesiątki łuf zezem na mnie spoglądało.
Nagle brzęknęły kajdany tak dziwnym szelestem,

* przy ul. Henryka Siemiradzkiego w Krakowie mieścił się areszt śledczy (red.)

że nie wyrażę myślą, słowem ani gestem.
I długo jeszcze, długo ten szelest brzmiał w uchu,
choć ręce już od dawna zwiesiłem w bezruchu.
Nareszcie ruszył z miejsca ten kondukt przedziwny
– ja szedłem pośród niego jak chłopiec naiwny,
raz byłem na pogrzebie, a raz na weselu...
Ale jużesmy doszli, jesteśmy u celu:
na ulicy potulnie stał wehikuł chwili
i tutaj nas strażnicy już podprowadzili.
I jeden dłoń mi podał, lecz nie dłoń przyjaźni,
pomógł tylko, bym szybciej wdrapał się do kaźni,
którą też w pół sekundy wzrok obleciał pędem.
Przez środek jak Mur Chiński sztangle stały rzędem.
Ni to rydwan nieszczęścia ani to kibitka,
ściany obite dyktą, a w okienkach sitka.
Usiadłem. Drzwi z łoskotem zamknęły się szczelnie,
myśmy jak i strażnicy siedzieli oddzielnie.
Warknął motor, zgrzyt sprzęgła i rydwan się ruszył
tocząc walkę wewnętrzną, sapał, słabość kruszył.
Sunął tak ślamazarnie, chylił się, uginał,
że mi swym tempem wielce żółtwia przypominał
– aż wreszcie zagrał, zawył, rwąc jak huragany.
Widziałem krzaki, drzewa i płowych zbóż łany,
które niemal do ziemi kłaniały się ku mnie.
Ja chociaż i w kajdanach spoglądałem dumnie,
bo to i zaszczyt miałem i żal do tej doby...
Czułem, że te ukłony nie dla mej osoby,
To przyroda me lata czciła poniewierki,
Pierś falowała szybko, w oczach miałem świerki,
Ale rydwan nie zważał, rwał na dół, do góry,
aż wreszcie zobaczyłem te prastare mury.
Kraków. Ach, jakież dziwne, dziwne miałem czucie...
Widziałem – Twardowski jechał na kogucie,

właśnie wracał z Krzemionek, gdzie odwiedzał czarta,
 lecz jeszcze nie przebrzmiała straszna myśl uparta,
 gdy nagle „Mnich Skrzydlaty” wypadł z Jagiellonki.
 Ludem się napelniały ulice i sionki:
 Głaz odwalili! Odrzucił! Diabłą księgę czytał!
 Pomór! Nieszczęście! Klęska! Każdy biadał, pytał.
 Miasto stracone! Zguba! A w każdym kościele,
 Biły dzwony, dzwoneczki z Zygmuntem na czele.

KOMBATANT

Zostałem kombatantem bom słyszał jak walczyli,
 z wrogami przedwiecznymi i Ojczyźnie służyli,
 ze śmiercią idąc w taniec, gdyż dla nich to zabawa...
 Ani mi się nie śniło, że mnie wpadnie ta sława,
 bez żadnych ceregieli i bez żadnych wydatków.
 Do Związku się zgłosiłem, mając lewych dwóch świadków.
 Ci coś pomamrotali i kombatant gotowy.
 Gdy wyszedłem z urzędu chylą się ku mnie głowy,
 powiadają – bohater – i pierwszeństwo mam wszędy,
 kłania mi się śmiertelnik, kłaniają urzędy,
 a ja pękam ze śmiechu, głowę chyląc do brzucha,
 udaję kombatanta, bohatera i zucha,
 gdyż wiem, po co to wszystko, o co tutaj chodzi.
 Czego nie wszyscy wiedzą, a zwłaszcza nasi młodzi
 nie wiedzą, że się zjadło już wszystkich kombatantów.
 A oni być tu muszą, więc się szuka amantów
 – nie za darmo, co prawda, zawsze im się coś rzuci,
 z czego amant rad będzie, wcale się nie zasmuci.
 Nawet ja, co przenigdy nie bywałem amantem,
 dla korzyści ja tylko zostałem kombatantem.
 Choć niewiele rzucają, można rzec ochłapki,
 mniej to niż kieszonkowe com dostawał od matki,

ale w głodowych czasach, wielkie ma znaczenie.
A więc gram kombatanta jak na prawdziwej scenie.
Budowniczy związkowi, to prawdzie wiarusy,
z moich własnych pieniędzy wypłacają mi ZUS-y.

ZDRAJCY

Mozolił się okupant, zdrajcy się mozolą
jakby się tu uporać z minioną niewolą,
jak zdradę w rytm wolności delikatnie wcielić
by tyranię i przemoc wygładzić, wybielić?
Idzie to jak po grudzie, z dnia na dzień, rok z roku
że trudno dziś do tyłu i wprzód zrobić kroku.
Lis by zwątpił, lew strwożył – szczerze wyznać muszę
Wszyscy – ale nie zdradzieckie dusze.
One, chociaż przenigdy nie wierzyły w cuda
dzisiaj niezbitcie wierzą, że wszystko się uda.
Zamącić w historii głęboko, wzorowo
walkę o byt porównać ze zdradą narodową.

RÓWNACIE?

Nie wiedzieć co złoczyńcy mają w swoim planie?
A coraz częściej, głośniejszy słyhać to równanie
Nic to dobrego na przyszłość nie wróży
Jeśli ktoś morza równa do kałuży,
Do szarej kuropatwy porównuje wilka
Można by tu wymienić takich równań kilka.
Jakie to porównanie? – aż słuchać niemile
Kto się odważył Polskę porównać do Chile?
A Polaka za pan brat znowuż do Hiszpana?
Co to za porównanie, co to za podmiana
Polska, wie każdy, tonęła w niewoli,

I jak ci tu Polaka serce nie zaboli?
Kiedy się porównuje, że wszyscy jednacy...
Nieprawda! Jedni parszywi zdrajcy, a drudzy Polacy.
Chilijczycy, Hiszpanie, ci w swoim imieniu,
Niepodległość ich łączy w odmiennym odcieniu.

PRZEPRASZAMY

Nie trzeba tu powtarzać, wszyscy bowiem wiemy
jak biedni my a grzeczni przepraszać umiemy:
Żydów za to, że przecież byli Polakami
hitlerowców, że nigdy nie chcieli być z nami.
Rosjan, że z pół kraju nas oswobodzili,
do tego lat pięćdziesiąt byli tacy mili.
Bezpiekę, że tak wiernie służąc swemu panu
zdążyła się wywiązać z podanego planu:
wymiotła patriotów (który się odważył).
Nawet sam pan o tym nie marzył.
Partię, że narodowi wiernie przewodziła
młodzież zamiast wykształcić, to ją wyszkoliła.
ZOMO, że tak serdecznie żyło z górnikami
śląc nieboraków w niebo (już ich nie ma z nami).
I tych co obmyślili piękne stany wojny
by naród mógł beztroski używać spokojny.
A nawet i tych, co dawniej w Wersalu
na tym wielkim przyjęciu, na czarownic balu
później nas w Teheranie, w Jalcie wspomagali
żeśmy tacy szczęśliwi, nieznaczący, mali...
To za mało przeprosin może tu ktoś powie
– moi drodzy, wprost włosów brakłoby na głowie
gdybyśmy dobroczyńców przepraszać musieli
tych, co nam już uczynili i tych, co dopiero mieli.

NAGA PRAWDA

Kto zajmie się przeszłością? – historyków sprawa.
Panowie – historia, to żadna zabawa....
To jest akt, rzeczywistość która się nie zmienia,
historią żyć będą przyszłe pokolenia.
Nie można jej sporządzać według czyjejś woli,
zła rzecz, kiedy historyk rodził się w niewoli.
Bo jakże ptak oceni klatkę, w której siedział?
On znał tylko tę klatkę, o innej nie wiedział
i tak się przyzwyczał do własnej domeny,
że mu swoboda klaty wrosła w jego geny.
Tak i historyk nie wie, że połknął bakcyła,
bierze pióro, a pióro powoli się schyla,
zacierając granice niewoli z wolnością.
Rzeczywistość, kochanku, jest rzeczywistością.
Nie jest to powiedzenie, ale prawda naga:
nie ten zdrajcą, co zdradza, ale co pomaga.

FIGLE CZASU

Jak pięć atmosfer w głowę mi się ciśnie:
dlaczego wokół nikt ani nie piśnie,
czyż to wszyscy są martwi, ślepi, głusi, niemi?
Nie czują, jak czas figle płata nie z tej ziemi?
Gleba zamiast pszenicy pszenżyta wydaje,
a mężem zaufania sam nikczemnik staje,
zdrajca, sławiony aż pod niebiosy,
łśni promieniście jak złociste kłosa.
Lecz o tych, co Ojczyźnie szli wolność przywrócić,
kładli życie i młodość, by niewolę skrócić,
cichutko jak mak posiał, jakby ich nie było.

Jakim prawem nie wiedzieć tak się ułożyło?
Że nie wspomną ich starzy, młodzi, ani dzieci,
i trwa sobie ta chwila od dziesięcioleci.
Nie pomogły zawieje, mroki, ani chmury,
jak stało wszystko, tak stoi nogami do góry.
Ach, żebym ja jeszcze takiej chwili dożył,
– nie po to, bym się zemścił, pieklił, albo srożył –
ale bym twarzą w twarz stanął, naprzeciw rozkoszy,
gdzie się podłość, niewdzięczność nigdy nie panoszy.
Gdzie sędzia będzie sędzią, a lekarz lekarzem,
farmaceuta jak ongiś znowuż aptekarzem.
Gdzie prawo prawem stoi, nie nudzi jak mdłości,
świecąc jak kameleon do okoliczności.
Gdzie zdrada raz na zawsze pozostanie zdradą,
gdzie rozkazów zaborcy nie będą zwać radą.

III.

A SPRAWIEDLIWOŚĆ? – JAKAŚ DZIWNNA, MGŁAWA

DROGA DO STOŁU

Nie pomyśl, że to było na innej planecie
albo gdzieś oddalone w nieskończonym świecie.
Długie śledztwa w więzieniach, tortury i mordy
– takie coś mogły czynić tylko dzikie hordy.
A naród jak to naród, nie był z plasteliny
znosił tortury, przemoc choć nie ze swej winy.
Lecz zmiany wciąż się rodzą, duch każdej epoki.
I tu, gdy narodowi stwardniały już boki
począł wstawać powoli, głowę wzniosł do góry
wtedy hordy pędziły jak z okrętu szczury.
Poczęły skakać w otchłań morza, oceany
ażeby się uchwycić demokracji ściany
gdyż ta ich tylko może ratować przed zgubą,
w niej zawsze się udaje krzyknąć starą tubą:
Demokracja! Wolność! Po co swary, spory
cichcem jak kameleon zmienili kolory.
Wnet potępili hordy, wszczęli badać, szukać
żeby do serc narodu choć lekko zastukać
– przemalować, wybielić wszystkie mordy, zdrady.
Mieli ci oni głowy wprost nie od parady,
myślały jak najnowsze dzisiaj komputery.
A ja nigdy nie kłamię, zawsze jestem szczery.
Wzniesli głowy ku niebu chcąc oszukać Pana
że to wszystko co było, jest dziełem szatana
i prawie że na klęczkach przyrzekali Zbawcy:
nigdy więcej szatana. A nieznani sprawcy
Zadziałają skutecznie w dzień, wieczór i w nocy
wszystko będzie różowo, bez żadnej przemocy.
I wszystko poszło sprawnie, tak jak się należy
a wolne tuby wrzeszczą, że to właśnie skrzaty
których odkryć nie sposób... Tak ginęły kwiaty

Narodu i naszej kochanej ojczyzny.
Tej rany w polskim ciele nie pokryją blizny.

PRZYBYSZ

(posłałem wiersz do Komitetu przy „Okrągłym Stole”,
wtedy mi się ani nie marzyło, że „Okrągły Stół” to fikcja)

Pośród lasów cienistych, gdzie łąka rozlana
na której morze kropel błyszczało co rana,
jak miliony pereł świeciły kropelki,
gdy słońce swoim blaskiem budząc żywioł wszelki,
pięło w górę na niebo, aby wskrziesić życie,
stanąłem w cieniu lasu i spojrzałem skrycie.
W pobliżu stał kształt ludzki wśród łąkowych kwiatów.
Czy to człowiek, czy to duch, czy przybysz z zaświatów?
takie to sobie właśnie zadałem pytanie...
Ale ciekawość ciągnie. Rzekłem – niech się stanie.
Zbliżyłem się ku temu, lecz to stoi sobie
chudziutkie jak nieboszczyk, który lata w grobie
przebywał. I nagle wrócił, by chwycić powietrze...
Krok postąpiłem naprzód i rzekłem: człowiecze!
poznaję, że ty w innym przebywałeś świecie.
Na jakiej to – chciej wyznać – istniałeś planecie?
Ja żyłem na planecie wszystkich równych stanów
inteligentów, chłopów, spółdzielców i panów.
Każdy stan był chroniony, każdy żył jak w raju,
a sprawiedliwość biła jak źródła Dunaju,
gdyż parlament był sprawny. Tak na dobrą sprawę,
duch chwili palcem skinął – już dawał ustawę.
Tych ustaw jak gwiazd na niebie, całe miliony,
a przez każdą obywatel wielce był chroniony.
Ochrona, musisz wiedzieć, przychodziła z wiekiem,
kiedy już obywatel nie był człowiekiem

ani zwierzęciem nawet – bo zwierzę to częśćka przyrody.
Każdy go zwykł ochraniać, czy stary, czy młody.
I na koniec tak przyszło, że rząd nie był rządem,
sędzia też nie był sędzią, a sąd nie był sądem.
A ten, który jest dumą, tarczą, przyrody ozdobą
CZŁOWIEK – i on to właśnie nie był sam sobą.
Lecz gdy już koniecznie chciał sobą pozostać,
jakimże to wymogom musiał biedak sprostać?
Daltonizm na planecie nie był niczym nowym,
toteż wszystko miał widzieć w kolorze różowym,
ze stoickim spokojem wszystkich bredni słuchać
milcząc jak grób spróchniały, by uchronić ducha.
Bo o mowie tam jakiejś szkoda było marzyć,
zostać sobą, być sobą, to musiałeś zważyć.
Bo u was, jak ja widzę, inne życie świta,
jeden drugiego przecież, choć niepewnie, wita.
Przy jednym, a okrągłym zasiadacie stole,
z dała widać, że wcale nie jest to przedszkole...
Ale trwajcie! Nikt od was nie wymaga cudu.
Wiedźcie, że dla Narodu, dla polskiego ludu,
dla Ojczyzny – to duma święcić się bez reszty,
bez względu na więzienia, bezprawia, areszty.
Na szykany co nawet zraziłyby czarta.
Ale wolność Ojczyzny wszystkiego jest warta.

Pozdrowienia dla wszystkich przy „Okrągłym Stole”, którzy nie tylko mówią,
ale i myślą po polsku. Odpowiedziano mi 20 marca 1989 r.

OKRĄGŁY STÓŁ

Wasale, gdy nadeszła ostateczna pora,
zwrócili się jak zwykle, do imperatora.
Wodzu wszechmądry, już nie starczą baty,

prawda przenika zamki, uchodzi przez kraty.
Grunt pod nogami jak w tyglu się pali,
naród otrzeźwiał i wszystko się wali.
Dłużej już nie da rady, na bunt się zanosi...
Naród? – rzekł imperator – to jak uśmiech Zosi,
narodu się lękacie? To płocze pacholę,
pohuścimy go chwilę przy okrągłym stole.
A stół chociaż okrągły, lecz musi być duży.
Prasa, telewizja niechaj wszystkim wróży:
ten bardziej jest na prawo, który głośniej grozi,
aż ciarki idą w pięty, aż krew w żyłach mrozi.
Wy znowuż z lewej strony, krzyczcie starym tonem,
żeby was prawa strona nazwała betonem.
Tak do samego końca grajcie swoje role,
bo Naród to niemowlę, to płocze pacholę,
cielątko wylizane, co wszystko uwierzy
– że wyście z lewa, z prawa, że jesteście szczyrzy.
Jak życzy sobie Naród, wygra prawa strona.
Szat nie trzeba wymieniać, zmienicie imiona.
i wtedy towarzysze – cały Naród z wami!
Tak sobie trzeba radzić z tymi narodami,
gdy nie pomogą baty, mamy inne rady.
Bo czyż to nasze głowy tylko od parady?
Mędrzec ten imperator, wprawę miał niemałą,
jak wyrzekł, identycznie tak się stało.

TRZECIA RZECZPOSPOLITA

Trzecią Rzeczpospolitą oddano Wałęsie,
a Polska jak się trzęsła, tak się dalej trzęsie –
orzeł biały co prawda otrzymał koronę,
rozpiął skrzydła. I nie wie, w którą lecieć stronę,
na wschód, czy zachód, czy pozostać w kraju?

Czując się roztargnionym jak zła dusza w raj.
A sprawiedliwość? – jakaś dziwna, mgława,
prawo tak jak i dawniej domaga się prawa.
Choć wolność słowa kwitnie, radia i prasy,
mimo to lud się krzywi, jakie przyszły czasy
że ani tu przymusu i nie ma cenzury...
Lecz spróbuj prawdę pisać od dołu do góry
– nikt ci nie wydrukuje ni jednego wiersza...
Demokracja wciąż się szerzy i co dzień jest szersza.
Trzecia Rzeczpospolita, dokąd nas prowadzi?
Wszyscy o to pytają, radzi i nie radzi.

DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE

Dwadzieścia pięć lat temu byli solidarni,
a dzisiaj szum jak w ulu, skowyt niby w psiarni.
Jednego, biedni zdrajcy, tu nie przewidzieli.
Zdało im się, że czas wszystko wymaże, wybieli,
uczyni z nich baranki, pokorne owieczki...
Może by i tak było, gdyby nie te teczki,
których zniszczyć nie mogli czy brakło im chęci.
Ale kiedy już powstał Instytut Pamięci,
że naród jak najbardziej zajmie się tym godnie,
odkrywając usługi i zdrady i zbrodnie,
wtedy im na myśl wpadło, by uczcić rocznicę
„Solidarności”. Że nigdy i żadne różnice
nie dzieliły Polaków... Tak się zdrajcom marzy.
A co wyczytujemy patriotom z twarzy?
Że też kolaborantom wciąż świeci myśl złota,
Kolaborant! – wołają – pierwszy patriota!
Wrzeszczą więc w Europie i przed całym światem,
jak to w Polsce ofiara zrównała się z katem.
Łączy ich więź braterska: kata i ofiary,

Czy to kat, czy ofiara równe mierzą miary,
nikt tu sobie nie krzywdzi i nikt się nie złości.
Tak zdrajcy obchodzili dzień „Solidarności”
albowiem uwierzyli, że wszystko się uda.
Bo czyż to na tym świecie nie dzieją się cuda?
Czwarta Rzeczpospolita zmrużyć okiem raczy,
jakby oczarowana, nic tu nie zobaczy.
Teczki rozkaże przemleć jak makulatury,
aby też nad zdrajcami nie wisały chmury.

IV.

NIĆ ZWANA ŻYCIEM

WIARA

Wiara, ufność, nadzieja, to przepiękne rzeczy,
nawet błazen, filozof, mędrzec nie zaprzeczy.
Wszyscy żyjemy wiarą, choć nie wszyscy znają,
na czym upływa żywot, tedy się sprzeczą –
tamten wierzy w fortunę, ten w miłość, ten w czary.
Świat by uwiądl, kochani, zmarniałby bez wiary.
Bowiem i testamenty, Tora i werset Koranu,
z jednego źródła płyną pochlebając Panu,
który tam z wysokości wszystkich szczęściem darzy.
Choć nam nie było dane widzieć Jego twarzy,
czy popłyniemy w szczęściu, czy nas goni trwoga,
wszyscy wnosimy modły do jednego Boga
gdyż On wszędzie panuje. W każdym zakamarku.
Żywot tak ułożony jak koła w zegarku
Który czas nam odmierza... Myśl, chęć to uluda,
a jeśli duszą wierzysz, wiara czyni cuda.

WOLNA DUSZA

Gdy los wojenny ojca za granice rzucił
przebywał tam dość długo. Ale gdy powrócił,
rozmyślał wciąż głęboko i zachodził w głowę,
że to co nas otacza wszystko jest państwowe.
Przypomniało mu się, że kiedy był młody,
wszystko to należało niegdyś do przyrody.
Dzisiaj ryby, zwierzęta, wędkarstwo i łowy,
a nawet obywatel też bywa państwowy.
Pola, łąki i lasy, rzeki, stawy, wody,
góry, powietrze, światło, ziemia i jej plody.
Nawet gdybyś wybrankę chciał pojąć za żonę,
to i te możliwości masz upaństwowione.

Mieszkanie jest państwowe, suknia, spodnie, buty...
Więc pędzisz jak szalony i szukasz dopóty,
dopóki nie odnajdziesz żony i mieszkania.
Bowiem miłość państwowa do tego cię skłania,
żebyś myślał i dumał i wił się jak węż,
kiedy się przeciw tobie nieszczęście sprzysięże.
Wtedy na nic nie zważasz, poślubisz mieszkanie,
żonę także, lecz żona już na drugim planie.
A los wciąż się nie zmienił, jest jak był za młodu,
lecz zamiast szukać ślubu, ty szukasz rozwodu.
A życie płynie dalej, gnębi cię i złości,
i tak tkwisz, zakochany, w państwowej miłości.
Ale miłość trwa krótko, uczucie się zmienia,
wracają jak bumerang dawniejsze wspomnienia.
Gdy jestem przy wspomnieniach, szczerze wyznać muszę:
wszystko zdołasz ujarzmić, lecz nie zdołasz duszę.

NIECH SMUTEK SIĘ ROZLECI

Wszelki trud rzuć w rupieci
a głowę wzniesź do góry
smutek w drzazgi polec
i wzbije się pod chmury

bo smutku miejsce właśnie
jest tam gdzieś pod chmurami
niech w cząstki się roztrząśnie
a szczęście żyje z nami.

NIC ŻYCIA

Kiedy Natura wróżka twoich losów
nić, zwaną życiem dla ciebie uprzedzie

czy szczęścia tyle, co na głowie włosów
czy może po kres nigdy go nie będzie.
Ktoś rzekłszy z boku, że sam sobie musisz
jak kowal na kowadle wyklepać swe losy.
Wcześniej przepadniesz, zmarnisz się, udusisz
Pozostaniesz bez duszy, obdarty i bosy.
Na nic się zdadzą tutaj twoje wzmaganie
nie zmuszaj ciała, nie oszukuj duszy.
Możesz spróbować – nikt ci nie zabrania
lecz twój wysiłek wniwecz się rozkruszy
gdyż wróżka dawno nić twoją utkała.
Jakby na mapie masz każdy przystanek
miłość, uczucie, koniec ci wskazała
rok i godzinę, noc, wieczór i ranek.

ATOM

Kiedy już zdrowie i młodość ucieknie
a pani z kosą Dzień Dobry ci rzeknie
wtedy poczujesz, że wszystko się zmienia.
Rytm serca równasz do czucia sumienia
które każdy uszczerbek twego życia ruszy
i czy hańbę, czy dumę pieścisz w swojej duszy
kiedy usiądziesz nad strumykiem cicho
pomyślisz sobie: po jakie to lichy
ja tu przybyłem? Miałem żyć... A życie piękno i rozkosze
gdy tymczasem na skroni zmarszczki tylko noszę.
Na plecach garb mi wadzi, nogi kolkiem stają.
Tak nas biedaków lata odmieniają.
Jedynie strumyk. Ten jak wieki temu
płynie sobie hen w dale ciągle po staremu
zdrowy, rześki, wesoły, szumiący i młody.
Chociaż i w nim już płyną nie te same wody

co dawniej czystość niosły w głębie oceanu.
Lecz płynie sobie, by nie przeczyć Panu.
Bowiem moc Jego, to Jego rozkazy
przyrodzie dały lud, zwierza i płazy,
łądy strumyki, lasy, puszcze, knieje.
Bo Pan wszystko przemyślał... Miał taką nadzieję,
że kiedy dar niezbędny udzieli przyrodzie,
to czyby to w powietrzu, na łądzie czy w wodzie,
wszyscy będą przestrzegać Jego wolę, prawa.
Gdy tymczasem człowieka nęciła zabawa,
by poprawić po Panu. Rzekom bieg odwracał,
jedne dłużył, niweczył, inne znowuż skracał.
Morzom wydierał ziemię, nie liczył się z Bogiem.
Żyzne gleby zostawiał, leżały odłogiem.
Nie zapytał niewdzięcznik, co Pan na to powie.
Przyrodę z nóg powalał, a stawiał na głowie.
Chociaż wiedział, że niebo to radość, zbawienie.
Lecz w człowieku – ja nie wiem – tkwi takie nasienie,
które pęcznieje, żyć chce, pęka, wschodzi,
ciągnie go, nęci, kusi i uwodzi.
Ten proch... Na ziemi myślał niebo stworzyć.
Nie życzę innym, sam nie chciałbym dożyć,
by nieznanie dziś jeszcze do głębi promienie
przyniosły dla ludzkości na ziemi zbawienie.

ŻYWY TRUP

Chciałbyś płynąć w starości, starość ci się marzy,
będąc ślepym, nie słyszysz, masz zmarszczki na twarzy?
To cię bawi, gdy nogi nie chcą cię już nosić,
kiedy pomocy innych przyjdzie zebrać, prosić?
Po ci tej starości pocziwy człowieku?
Czyż to nie lepiej umrzeć w pełni, w sile wieku?

Kiedy wciąż jeszcze kipią Herkulesa moce:
siła, potęga, pewność. I w takiej epoce
czy ty wiesz, jak przyjemnie umierać młodemu?
Nie zachwalam zaświatów, czyńcie po swojemu.
Ale ja po wiek wieków przy prawdzie obstaję,
wiedząc że sto lat życia niczego nie daje
jedynie myśl skostniałą i garb kręgosłupa.
Każdy z litością patrzy na żywego trupa.
Lecz każdy ten, co litości cudzych nienawidzi,
żegna myślą i umierać młodo się nie wstydzi.

NIE MAM NIC DO UKRYCIA

Czy żyłeś wręcz beztrosko, czy żyłeś troskliwie,
wcale nie wyrokuję czy umrzesz szczęśliwie.
Bowiem przecież wyroki wydaje kostucha
i choćbyś usta otwarł od ucha do ucha,
w marzeniach zamknął oczy i spoczął jak we śnie,
pytanie wciąż zachodzi czy nie zmarłeś za wcześnie.
Czy nie mógłbyś lat jeszcze poddzierzawić kilka,
tak by owcę mieć całą i nasycić wilka.
A wtedy niechże szczęściem koniec się potoczy,
mogąc już wielkiej Pani patrzeć prosto w oczy
i szeptać – niech się wreszcie woła twoja stanie.
Ale po cóż tu jeszcze rozpamiętywanie...
Nic ja przed wami nie mam do ukrycia,
szczęśliwie się umiera gdy zabraknie życia.

OJCIEC I SYN

Nad czym tak rzewnie dumasz – syn zapytał taty
– zapomnij, to nie wróci co było przed laty.
Po co się trudzić, dumać i zachodzić w głowę?

Wszakże po starym zawsze następuje nowe.
Profesorze – rzekł ojciec – nie to mnie nurtuje,
bowiem już z dawien dawna siebie zapytuję,
ale przy okazji, jak mi Bóg na niebie,
chciałbym zapytać mądrzejszych od siebie.
Powiadasz synu, jak wszystko się zmienia...
Ale toć to uczeni kształcą pokolenia.
A skąd wiedzą co wolność? – przecież byli mali,
nie widzieli wolności ani nie zaznali.
Po prawdzie jej nie było, a była niewola,
niewolę im włączano od progu przedszkola.
Skąd wiedzą co to prawo, co mieści się w prawie?
W snach go nie wymarzyli, nie mówiąc o jawie.
Rodzili się w bezprawiu, w tym cała obawa...
Od kogo właśnie mieli nauczyć się prawa?
A zatem profesorze, nie graj mi tu zucha,
bo wiesz, że dałbym tobie i serce i ducha,
a nie dopiero prawdę bym szczepił w twej głowie.
A więc zechciej posłuchać, co ci ojciec powie
który kąpał się w prawie, nurkował i pływał,
a wolności jak ptaszek beztrosko używał.

CZŁOWIEK TO DUMA

Łudzisz się, gdy staremu policzyłeś lata.
Bo starość przecież nie przychodzi z wiekiem
tak było od zarania, od początku świata
kiedy ten człowiek zaczął być człowiekiem.
Człowiek to życie, to świat, to epoka.
Głębią myśli rozgromił w niwecz siłę smoka.
Takim już jest ten człowiek, takim się urodził
starcem bywał i starcem do szkoły przychodził
gdzie jeno pismo wchłaniał i czytania sztukę

aby prędzej po mędrkach posiąść wiedzy wstęę.
Miał ją w sercu, a w duszy zachował naukę
i wtedy to już człowiek wyrósł na potęgę
Przenigdy też nie równaj do ludzi człowieka
choć ludzi i człowieka razem zapisano.
Od takich ocen trzymaj się z daleka
Spójrz na miano człowieka i na ludzi miano.
Zaszyj się cicho pośród gniazda ludzi,
ci jak szaleńcy za swym szczęściem gonią
w nich się chęć niecna do fortuny budzi
fortunę zdobyć hańbą, szczęściem albo bronią
ale ją mieć, dotykać, to życie im słodzi
jej wszystko oddać, dla niej cześć i chwała.
Lecz gdy duch frunął i do raju wchodzi
Fortuna sobie na ziemi została.
Człowiek zaś po wsze czasy pozostał człowiekiem
choć go przecież z fortuny do naga obdarli.
Nie było to chorobą, lecz to było lekiem
gdyż pozostał człowiekiem, choć ludzie umarli.

DOBRY SĄSIAD

Był dzień ponury, brzydki, w dodatku niedziela,
gdy Stanisław odwiedził kolegę Daniela.
Czemu on tak – pomyślał – na odludziu żyje,
czy mu przyjaźń obrzydła, czy w sercu coś kryje?
Ale przecież od razu pytać nie wypada,
dlaczego sam tu żyje, nie mając sąsiada.
Sąsiad wieści przyniesie, rad mądrych udzieli,
w potrzebie jest pomocą, smutki rozweseli.
Nie rozumie pięknego życia wśród sąsiadów,
jak gdyby mu szło lepiej pośród dziczy, gadów.
– ale to jego wola, gady czy sąsiady –

jak trudno by mu było tu udzielać rady.
Lecz kiedy już usiedli zaraz po obiedzie,
gwarząc to o rozkoszy to znowuż o biedzie,
gdy się zbliżyli, zagadnął nieśmiało:
Sam tu mieszkasz, bo widzę sąsiadów tu mało?
A wiem przecież od ojca, od dziada, pradziada,
jak to dobrze mieć w życiu dobrego sąsiada.
Dobry sąsiad? – to nowość – gospodarz zagał,
to tak nowe jak grudzień kiedy się umiał.
Muszę ci prawdę wyznać jakby na spowiedzi,
że tak naprawdę dobrzy, to martwi sąsiedzi.

WILK I CEZAR

Śnieg w pas zawałił pola, mróz jak Sybir srogi
sarna z zimna spłowiła, jelen zrzucił rogi
by z życiem przetrwać zimny królowanie.
Wiatr mocno dmucha, pustki na polanie,
głód zapanował w lesie. Ale zajęc w porę
połapał się i smak swój przestawił na korę.
Bo co innego świstak, ten śpi jak lord cicho
żadne by go w głębinie nie odkryło lichu.
A co tutaj wilk rzeknie, też podwładny Pana
nie śpi zimą, nie jada kory ani siana?
On też żyć chce, jak inne stworzenie.
Czy on winien, że wilcze otrzymał sumienie?
Zwierzyny na lekarstwo nie znajdziesz tu w borze,
nie pierwszy raz tak bywa zimą o tej porze.
Wilk nie mając wyboru, bo głodny jak lichu
skulił ogon zgarbiony podkrada się cicho
ku domostwu. Gdzie Cezar sypiał sobie w budzie,
nie śnił o zimnie, głodzie, nie znał co żyć w trudzie.
Lecz gdy wilk się przybliżył bez szmeru, bez mowy

– to cień mnie jakiś straszy, przyszło mu do głowy.
Lecz widząc, że cień ten nie jest wcale wrogi
dwa uszy i kręgosłup, długie cztery nogi,
żał go wielce ogarnął jaka to chudzina,
życia chyba dla niego ostatnia godzina.
Siadł na ogonie i rzekł: witam, witam gości,
w misce jeszcze świeżuchne, miękkie wieprza kości
częstuj się bez obawy, bo mnie nie smakują.
Różnymi mnie fruktami państwo tu częstują
bierz jedz, nie czekaj, my krewni z wilkami.
Ale wilk już na dobre chrupał, trzaskał kłami.
Cezar przez dłuższą chwilę śledził nieboraka
i wtedy mu do głowy wpłynęła myśl taka:
czemu się męczysz, rzecze, mrozisz, chudniesz, głodzisz
przyjdź do mojego pana i życie osłodziś.
Ot – wskazał nosem budę i łańcuch z obrozą,
tę budę w każde lato pod stodołę wożę.
Tam im będziesz stróżował, masz wikt i wyspanie.
Ale wilk prawie skończył kosteczek chrupanie,
spojrzawszy na Cezara otwarł wilcze usta i
rzekł: miłsza jest chuda wolność niż niewola tłusta.
Bywaj Cezarku zdrowy, jednak cię opuszczę,
wolnych pokrzepia wolność, a poddanych tłuszczce.

V.

WCIAŹ PRAGNĘ, SZUKAM
TWEGO CIENIA

DO ŻONY

Pragnę cię zawsze, lecz kiedy biorę cię w ramiona,
pytam samego siebie co z ciebie za żona,
że wciąż nie mogę tobą pragnienia nasycić.
Jakbym mógł w całej pełni tobą się nie szczyścić,
nie wielbić cię, nie kochać według przykazania.
Wyznam ci, że od ślubu, czyli od zarania,
nie pożądam żon obcych nawet myślą, okiem,
bo ty w mych żyłach płyniesz wezbrany potokiem.
Marzę tylko o tobie, jak trudno mi zgłębić,
czym ciebie można rozgrzać albo czym oziębic.
Życie z tobą jak w bajce, czas lata odmierza,
a wciąż jesteś mi obca, wciąż inna, wciąż świeża,
jak po raz pierwszy zawsze zdobywać cię muszę,
bo zabrałaś mi serce i ciało i duszę.

KOCHANA

Pomyśl moja kochana
że noce, dnie i rana
w miłości tonę mgłę,
przed Tobą chyląc głowę.
Zamykam myśli, mowę
i wciąż nie jest mi źle.
Choć twe usta ponętne,
lecz to mi obojętne,
ja kocham postać Twą
twój ruch jakże uroczy.
Wszystko we mnie jednoczy
smutek i uśmiech ze łzą
dziś, gdy Cię żegnać muszę.
Gdybyś ujrzała duszę

myśli rozpierzchnę w dale
o czym wiesz doskonale
że z serca już okruchy,
a może jakieś duchy
skłonią Cię wyrzec szczerze
że kochasz i to bez wytchnienia.
Byłbym wdzięczny niebiosom
i poddałbym się losom
słyszając słowa mojego zbawienia.

NIE SZUKAJ DWÓCH SZCZĘŚĆ NARAZ

Przyganiam twój postępek mój drogi Zenonie
że przyprawileś grabie mojej przyszłej żonie.
Troszczyłeś się tak mocno, wciąż żyjąc w obawie
kiedy ja swoją miłą za szybko postawię
by mogła swoim wdziękiem nęcić małolaty.
Czyżbyś o tym nie wiedział, że żyją dwa światy?
Jeden co wzrokiem serce ściska, kusi
drugi, że zewnątrz pięknym być nie musi.
Nie jestem małolatem, żebyś mógł tak marzyć
żeby dwa szczęścia naraz mogły się przydarzyć,
ale przyznam się szczerze, że nie obrażony.
Nie mam żadnych rozterek, jestem upewniony
że tkwi w niej to, co dla kobiet cechą nieodzowną:
przyjemną jest zewnątrz, wewnątrz cudowną.

ZAWSZE INNA

Ty jesteś gwiazdą znaną
na moich uczuć niebie
przez me serce wybraną
po wieki kocham Ciebie

kocham, gdy płaczesz wzdychasz
i gdy jesteś okrutną
kocham, gdy się uśmiechasz
kocham, gdy jesteś butną.
Kocham, co w sercu kryjesz
choć nie jest mi znane
i to, co twym marzeniem.
Wszystko dla mnie kochane.
Tyś jak słońce na niebie
ciepłą, miłą, niewinną
jakże nie kochać ciebie
gdy co dzień jesteś inną.

NIMFO

Nimfo, co z dala słodkim siejesz czarem
wciąż pragnę, szukam twego cienia
dręcę się, trudzę. Choć marzenia
którymi teraz częstować się muszę
boś serce wzięła, rozkruszyła duszę
jednym spojrzeniem skuliłaś mnie w kajdany,
co prawda słodkie. Lecz los mój szarpany
przez tyle czasu nie doznał tej męki.
O nimfo! – nie myśl, żeby z twojej ręki
to wszystko przyszło i dręczyć mnie chciało,
raz cię ujrzałem – no i ... tak się stało.
Lecz wybaczyć spytam: na jak długie lata
twoje spojrzenie nieszczęśnika splata?
Czyżby na wieki mam marzyć o tobie?
Życie zniweczyć, nie zapomnieć w grobie?
Ach jakbym, jakbym bez cienia obawy
muskął i pieścił twój włos kędzierzawy
patrzył w twe oczy po niebo szczęśliwy.

Jakież dla serca byłyby to dziwy
że na twój widok wciąż silniej mi biło
co chciało, pragnęło – stało się, sprawdziło.
Lecz wiedz, gdy słowem jak głaz twardym rzucisz
– odejdziesz! – i sama pójdiesz i nie wrócisz,
krzyknę chociażby gardło pęknąć miało:
zabrałaś serce, duszę, a wyrzucasz ciało!

KOCHANE ŻONY

Do kogo się mam zwrócić jak nie swego taty?
rzekł syn do cna zmartwiony, jeszcze nie żonaty.
Co mi dały kochanki, przyjaciółki miłe?
Chyba tylko to jedno, że chęć rosła w siłę,
żeby jedną jedyną moc pojąć za żonę,
a serce zamiast wokół, biło w jedną stronę,
w stronę żony kochanej, która szczęściem darzy...
Ojcze, dłużej nie mogę! Niech serce nie marzy!
Żona? – rzekł ojciec – to sto wzgórków stromych,
To jest matematyka, to pięć niewiadomych.

NIERÓWNA MIŁOŚĆ

Miłość, to rzecz głęboka można rzec w skrócie,
bo czym możesz pomierzyć prawdziwe uczucie?
Jest tu nad czym podumać. Jakiej użyć miarki
mierząc miłość do żony lub do sekretarki?
Obie kobiety z żyłą, obie piękne, zdrowe,
raz są łagodne, miłe – drugi raz surowe.
Lecz obie tak przejrzyste, smaczne jak krynica,
najmniejsza je nawet nie dzieli różnica,
a jednak są dzielone, bo prawo je dzieli.
Być może do tej pory nie wszyscy wiedzieli,

choć to stare jak światy... Dziś znów wyraz nowy:
molestowanie... Na Boga! Na rozsądek zdrowy,
czy można w całej pełni molestować żonę?
A jakże – rzecz prawo – to jest dozwolone.
A teraz spójrzmy chwilę w losy sekretarki,
tu uczucie mierzone według innej miarki:
choćbyś nawet największym mianował się zuchem
nie możesz sekretarki molestować duchem,
ani nadobną myślą. Bo myśli tutaj także bywa zastrzeżona,
sekretarka – mój drogi – to wcale nie żona.
A gdybyś przypadkowo rzekł do niej: kochana,
prześniłem noc o tobie do samego rana,
dziękując dobrym duchom, żem tej chwili dożył.
Taką cię mogłem widzieć jak cię Pan Bóg stworzył...
Lecz wtedy sekretarka może krzyknąć śmiało:
jak mogłeś gołym okiem muskać moje ciało!?
Przecież to wyraziście jest molestowanie,
to nie tylko jest moje, ale także Mahometa zdanie.
Albowiem już lat tysiąc w Koranie są wzmianki,
że wzrokiem nie upieścisz ciała muzułmanki.
Możesz ślinkę polykać... To w islam wrodzone.
Oko ma wielkie prawa pieścić tylko żonę.
Lecz by ci żal nie było muszę wyznać szczerze,
czy to i w katolickiej inaczej masz wierze?
Grzeszysz myślą i mową, bo jesteś grzesznikiem.
Ach – gdybym ja została twoim spowiednikiem
przenigdy nie dostałbyś u mnie rozgrzeszenia,
gdyż od dawna ja widzę twe skryte marzenia.
Bo sama przecież spoglądając bokiem
widziałam – jak grzeszyłeś myślą, duszą, wzrokiem,
patrząc ciągle w mą postać żałośnie, bezradnie.
To już molestowanie – orzeknąć wypadnie.

SERCE NIE SŁUGA

Gdy twe imię myśl dotknie wtem rytm serca słyszę
ono mi światłem, życiem, do snu mnie kołysz
a sen ciągle o tobie. Nie wiem co się stało,
żeś w dzień ze mną i w nocy i wciąż mi cię mało.
Słysząc jak świat szeroki, że sny jeno mary,
bym myśl w rupieci rzucił, snom nie dawał wiary
– ale jak mam zapomnieć o tobie kochana
kiedy wciąż jesteś przy mnie w dzień, w nocy i z rana.
Swym ciałem mnie dotykasz jak u ciebie w domu,
kiedy tylko we dwoje zmierzchem, po kryjomu
byliśmy sobie mili. Gdym cię pieścił, tulił,
nie wiem czym się zakochał, czym się tak rozczulił?
Ale jedno wiem pewnie, że to miłość mruga,
bo od wieków to wiemy, że serce nie sługa.

KOBIETA A WINO

Jureczku mów mi babcia – rzekła Paulina –
tak mnie od lat przezwano, to wcale nie drwina.
Chociaż czuję, że serce jak sam pączek młode
w rytmie krew przetaczając a nie jakąś wodę.
Nie wiem jaką ludziska zmierzyli mnie miarą
że u nich jestem babcią niedołążną, starą?
Że prawie mnie wyrzucić na śmietnik miłosny?
Nie powiem, bo przeżyłam już zimy i wiosny,
wiek mnie zaczyna gnębić, brak za grosz urody,
a jednak mnie dziurawi wzrokiem często młody.
Ty także patrzysz na mnie jak świeżo najęty,
jak skazaniec, co dopiero został z krzyża zdjęty.
– Bo cię kocham, czy nie wiesz moja ty królowo,
możesz skinąć paluszkami albo rzeknąć słowo,

a do twych kolan duszkiem jak placek upadnę,
szczerze mówię. Ty rozkładasz swe dłonie bezradne...
– Co ty mówisz Jureczku? Nie uwierzę w świecie,
że ty młody kochasz się w tak starej kobiecie
co by ci nie kochanką, a mogła być matką.
Nie masz w tym obowiązku, że jestem sąsiadką.
Coś mi tu nie wychodzi, coś twe serce kryje,
starą kochasz, gdy młodych możesz mieć po szyję?
Ale jeśli przede mną na kolanach szczerze,
wyznasz mi całą prawdę, wtedy ci uwierzę.
– A przecież starą kochać żadna to nowina,
kobieta od wiek wieków zrównana do wina,
a wino – wyznam szczerze – teza nie fałszywa,
czym jest starsze tym lepsze i smaczniejsze bywa.

WYZNANIE

Anito, ani nie myślałem, ani mi się śniło
żeby z twoim przewodem znów życie wróciło.
Źródłem szczerości serca wyznać tobie muszę,
że gdy ciała ci brakło i zabrałaś duszę,
wtedy twą moc poznałem jak sięga daleko.
Czułem się wprost cudownie i miło i lekko,
jak przyroda na wiosnę poczuwa się błogo,
kiedy zieleń traw mai i kwiecica jest mnogo.
Bo ty dla mnie jak wiosna, wciąż twą boskość czuję,
kocham cię ufam wielbię i wciąż myśli snuję:
że kiedy mnie przytulisz, osiągnę wyżynę
i w twych boskich ramionach jak wosk się rozplynę.

WYBACZ

(tytuł przekreślony, nad nim napisane coś odręcznie, nieczytelnie – red.)

Kiedy brnąłem do szczęścia, już byłem na szczycie,
nie liczyłem kochana, że wkroczysz w me życie.
I jak kornik co drzewo w trociny zamienia,
drażyłaś moją duszę. Rozległe marzenia...
stałaś się dla mnie świeża, miękka, miła, słodka,
jak oaza, gdy podróżnik w pustyni ją spotka.
Lecz ten jest niewdzięcznikiem, co innych obarcza.
Wina moja, gdyż platonicznie już mi nie wystarcza,
nie wystarcza mi miła ciebie wielbić, sławić
w marzeniach. Lecz fizycznie pragnę cię pobawić.

LEKARSTWO NA MIŁOŚĆ

Miranda perspektywy miała dłuższe, szersze
– choć tak często czytała o miłości wiersze
jak usycha z miłości, jak piecze, jak boli –
Ja nigdy nie utonę w miłości niewoli,
dla mnie miłość – mawiała – to bańka mydlana,
gdy zawita wieczorem, to pęknie już z rana.
Aż nagle zauważa, że gdzieś w serca głębi,
miłość płonie jak piekło, miota się i kłębi...
Czy to prawda, że kocham? Czy to serca wady?
Muszę ja pójść do babci i zasięgnąć rady.
Droga babciu, czy prawda, czy poetów łgarstwa,
że na miłość na świecie nie znajdziesz lekarstwa?
– Kochana moja wnuczko, nie całkiem to łgarstwo,
bowiem jedno jest w świecie na miłość lekarstwo:
Ślub. To co poeci piszą, to wszystko są baśnie,
miłość świeci przed ślubem, lecz po ślubie gaśnie.
– Teraz gdym już po ślubie widzę obraz nagi,

lepiej rad babci słuchać niż poetów blagi.

KOCHAĆ INACZEJ

Nie wierzysz, uśmiechasz się mrużysz jedno oko,
myślisz że nie potrafię kochać cię głęboko?
Głębiej niż księżna, głębiej niż królowa
kochać. To przecież o miłości mowa,
jeden tu sekret wyjawić ci muszę,
że w miłość wkładam i serce i duszę.
A ty mi ciągle prawisz te banały,
jak nierozumny, lub ten chłopiec mały,
co przed swą mamą począł rzewnie szlochać
gdyż nie rozumiał jak inaczej kochać.
Wrzeszczą wszyscy wokoło, że to wbrew naturze,
gdy syn wierny synowi, a córka znów córce.
Wszakże to wszyscy tkwią w jednej obłudzie,
gdyż to jeden ród ludzki, to wszystko są ludzie.
Kocham wszystkich, lecz wierna bywam sama sobie.
Z głębi serca oświadczam i w całej ozdobie
że nie w jakiejś zachciance, lub podczas podniety,
wszyscy za równo u mnie: mężczyźni, kobiety.
Zdarza mi się czasami mieć taką swawolę,
że uwielbiam mężczyznę, choć kobietę wolę.

NIE MYŚL

Mówisz, że cię nie kocham. Po co to marudzić?
Dręczyć duszę i ciało, żyć w ciągłej rozterce.
A ja tylko nie chciałem twoich uczuć brudzić
tak chciała moja dusza i ciało i serce...

Serce wrzało, pieniało, kiedym cię przytulił

gdym patrzył w twoje oczy, gdym tve usta gładził
twój obraz duszę moją do źródła rozczulił
bo kochałem... Ty sądzisz, żem zdradził?

Wyrzuć tę myśl za burtę, niech pryśnie jak bania
niech ja więcej twych żalów na uszy nie słyszę
pozwól w dowód miłości, uczuć i kochania
że cię w swoich ramionach długo ukołyszę.

Ciebie serce wybrało, ciebie pragnęła dusza
usta w niebiosy krzycząc: ona ci wybranką.
Przy tobie wszystko miłe – szczęście i katusza
czy będziesz przyjaciółką, żoną czy kochanką.

LIST NA IMIENINY

A że to dzisiaj dzień Twego imienia,
przyjm chociaż skromne, lecz szczerze życzenia,
bowiem chcę uczcić imię mi tak drogie.
Niech wszystko, wszystko, co dla Ciebie wrogie,
pryśnie. A szczęście wzbije się w obłoki,
i spłynie w szumie jak górskie potoki.
Ty niby rybka tam gdzieś w głębi morza,
pluskaj się w szczęściu wciąż zdrowa i hoża.
Ciepła jak słońce, co stepy wysusza,
wszystko osiągnij, czego pragnie dusza.

Dlatego cię od pierwszej chwili polubiła
Późną nocą kochanej rywalka się śniła.
Była niczego sobie rozsądna i miła,
ale za to fortuna choćby nawet błada,
więcej niż drugie tyle urody przykłada.
A rywalka w fortunie pluska się jak w morzu,

co też moją kochaną stawia na rozdrożu
i raz po raz sobie pilne zadaje pytanie:
czy ja kocham fortuny, czy ja kocham panie?
Czy mądrość, czy powagę, czy szczerłość, czy blagi?
Martwiła się, a pytać nie miała odwagi.
Ale czego to miłość dokonać nie zdoła?
Ta nawet i z kanarka może zrobić woła,
z igły widły, a z wideł nawet karuzelę.
O miłości nie wszystko wiemy – ale wiele.
Toteż moja kochana, kiedy mnie dopadła,
raz rumiana jak wiśnia, a drugi raz bladła,
nie mogąc ani słowa ze siebie wykrztusić,
(byłem w trosce, że z chwilą może się udusić)
A cóż się z tobą dzieje – pytam – moja miła?
Spojrzała, z głębi westchnęła i wprost wyrzuciła
ze siebie: Ulituj się o to proszę i wyznaj mi szczerze,
bo sny mnie prześladują, a w sny ja nie wierzę.
Jakie kochasz kobiety? Co u kobiet lubisz,
czym ci musi zabłysnąć zanim ją poślubisz?
– Lubię, gdy niczym nie jest, od fortun daleko,
uroda mnie nie bawi, gdy w głowie ma lekko.
– No widzisz mój kochany, rzekła moja miła,
dlatego cię od pierwszej chwili polubiła.

MIŁOŚĆ NIE ZNA GRANIC

Gdy raz Cię zobaczyłem, już byłaś mi boska
i żadna mnie tu zmylić nie może pogłoska;
żeś mnie przestała kochać, wyśmiewasz mnie, szydzisz,
niepoważasz, urągasz, i że się mną brzydzisz,
że rzucasz mnie niedbale jak tę brudną szmatę...
Porzuć, moja kochana, Twe myśli kudłate.
Dla mnie wciąż pozostaniesz tak cenna jak życie,

szlachetna, uwielbiana. I wcale nie skrycie,
po raz nie wiedzieć który swą miłość wyznaję,
uczuc serca ni kropli przed Tobą nie taję.
Bo Cię kocham i wierzaj, że cały świat na nic,
miłość – to mórz głębina, miłość nie zna granic.

MIŁOŚĆ MA DWA OBLICZA

Myślisz, żeś mnie rzuciła, to masz mnie już z głowy?
Dwa razy powtarzałaś że rozsądek zdrowy
nakazuje, żeby ze mną nie mieć nic wspólnego.
Doprawdy nie wiem, co cię też skłoniło do tego
by mnie rzucić, bom kulą stał się u twej nogi?
Czyżbyś już zapomniała jak płynął czas błogi,
we dwoje? Ja nigdy nie zapomnę, moja ty kochana.
Pomyśl tylko przez chwilę, że gdy wstaniesz z rana,
a mnie wciąż nie ma obok i myślą wstecz rzucisz,
czy cię śmiech pusty porwie? Lub gdy się zasmucisz?
To obojętne. Bowiem myśl twoja i tak mnie przynależy.
Myślisz, że serce twoje szybko ci uwierzy?
Mylisz się moja droga, nie znasz sama siebie.
A ja ci szczerze wyznam, jak mi Bóg na niebie,
żeś mi droga. Że cię kocham od stóp aż po głowę.
Na nic tve narzekania, spojrzenia surowe,
wszystko jak wiatr przeminie, jak jedna godzina.
Albowiem to jedynie jest natury wina,
że ta prawdziwa miłość miewa dwa oblicza:
jedno słodkie jak całus, drugie ma smak bicza.

VI.

TO KONIEC POKOJU

LIST DO CYWILIZACJI

Moja cywilizacja, gdy dumam o tobie
chętnie bym długi pacierz zmówił na twym grobie
bo już mi się przyjadły z twoich drzew owoce.
I gdybym dzisiaj posiadał Herkulesa moce,
zmusiłbym cię natychmiast wrócić do epoki,
skąd przybyłaś, gdzie pierwsze postawiłaś kroki.
Niech mówią lata, niech powiedzą wieki,
jak świat szeroki i jak świat daleki,
wszędzie swój ząb wścibiłaś, puściłaś korzenia.
Ale czy się spełniło ludzkości marzenie?
Otóż nie – cywilizacja – bo nie tędy droga.
Ludzkość spogląda w niebo i wzdycha do Boga.
Rozważ pierwszą połowę dwudziestego wieku.
Co komory gazowe mówią o człowieku –
że to uboczny produkt, wyłącznie na mydło.
To prawda, jak Bóg miły, to nie jest straszdyło.
I to całkiem z ciał ludzkich wyprodukowane...
Na mokradłach i poza miastem, tam gdzie rosły brzozy,
łśniły – niczego sobie – zagłady obozy.
I to nie przez bądź kogo budowane,
a przez znane narody cywilizowane
którym to jak lawenda zapachniała rasa.
A z reszty, jak mawiali, to na mydło masa.
Widzisz cywilizacja jak jesteś obrzydła.
Dzisiaj już nikt z ciał ludzkich nie wytwarza mydła
no bo to przecież wstrętne w dzisiejszej epoce.
Ale ty znów posiadałaś, chcąc zbierać owoce.
Nie antykoncepcję – choć ta także do ciebie należy...
Ale my obydwójce, bądźmy sobie szczerzy.
Po co tobie potrzebne jeszcze klonowanie?
Co prawda, chociaż jest to dopiero zaranie,

lecz gdy głębiej do źródeł zapuści korzenie,
uważasz, że to będzie ludzkości zbawienie?
Znów się mylisz, gdyż to istne powroty do rasy,
a więc spójrz moja droga jakie przyszły czasy,
że Stwórca – już stworzony – nie zamierza słuchać.
Czyż nie lepiej by było na zimne podmuchać?
I pozostać już przy tym jak bywa w przyrodzie.
Wszystko różne – w powietrzu, na lądzie i w wodzie.

WOJNA Z TERRORYZMEM

Zdawało się, że świat wiecznie będzie już spokojny
kiedy ucichły zimne i gorące wojny,
Gdyż mity dawno prysły – kto na wojnie zginie,
ten jest szczęśliw na wieki, ten do nieba nie minie.
Młodzi będą szczęśliwie spędzać młode lata,
kochać się, bawić, tańczyć używając świata.
Starzy także szczęśliwi, choć już bliżej nieba,
bowiem starszkom przecież więcej nic nie trzeba.
Wszyscy zadowoleni wolni i żonaci,
wykształceni, prostacy, biedni i bogaci.
Cóż to była za radość wprost nie z tego świata.
I tak by pozostało może długie lata,
gdyby nie to, co w nowojorskiej stało się dzielnicy.
Ranek wtedy był piękny jak uśmiech dziewicy,
pierwsza zmiana na dobre do pracy zasiadła:
wtem huk, łoskot, trzęsienie, niejedna twarz zbladła.
Niebawem już głos syren dochodzi z oddali
Manhattan płonie! Pierwsza wieża się już pali.
Jam jeszcze smacznie myślą po pokoju błądził,
dziś nie wiem, czy duch czasu, czy przypadek zrządził
żem w telewizor spojrział. A tam na ekranie
widzę słup dymu, dwie wieże płoną w Manhattanie...

Zamarłem. To World Trade Center chluba Ameryki.
Oczy widzą płomienie, uszy słyszą krzyki,
wnętrze jeszcze przez chwilę jakąś słabość kruszy.
Widzę jasno jak słońce i czuję na duszy,
że to koniec pokoju, że to pokój kona.
Ktoś lwu tak nierozważnie nadepnął ogona,
a lew ryknął co siły, ty stworzenie marne!
Wojna jest z terroryzmem! I już chmury czarne
spowiły świat po biegun. I aż do bieguna
ponad horyzontem zaświeciła luna.
Bo to nie konwencja! Głos nadziemski woła,
takiej wojnie sam szatan nawet nie podoła.

MŁODOŚCI NIE POKONA ŻADNA ZAWIERUCHA

Jak mi Cię żal młodzieży dwudziestego wieku
znasz wszelkie bałwochwalstwa a nic o człowieku.
Po co jam przyszedł na ziemię, po com się urodził?
Gdybym ja, jakimś cudem jeszcze się odmłodził,
a mógł, jak lew potrafi, ryknąć w Twym imieniu,
żeby Cię cywilizacja nie trzymała w cieniu.
Bo młodość jak świat światem cieni nienawidzi,
kocha prawdy, uczciwość, a kłamstwem się brzydzi.
Młodość chce się piąć w górę, aby przy rozkwicie,
nie wstrzymać się, nie spocząć nawet na zenicie.
A wiek dwudziesty pierwszy to przecież obluda.
Tak miało być przepięknie, miały dziać się cuda:
młodzież już douczona, szczęśliwa podwójnie,
jej intelekt miał przecież rozwijać się bujnie ...
A co się z Tobą stało, kochana młodzieży?
Twój intelekt nie w grobie, chociaż martwy leży,
a mógłby dobra czynić, całe góry, krocie.
Twój intelekt, młodzieży, wie to doskonale.

Więc wierzaj mi kochana i nie daj się skusić,
nie pozwól Twój intelekt bezkarnie udusić.
To nic, że nieudacznik chełpi się dziś, włada.
Przyszłość jedynie w Tobie nadzieję pokłada.
Ty od wieków przecież jesteś ideałem,
na nieszczęścia się kładziesz i duszą i ciałem.
A tymczasem co rzecze o tobie epoka?
Ona to niby hiena, nie spuszcza Cię z oka,
mruży nim i przewraca czyniąc sztuczną minę
widząc w Tobie w przyszłości jedynie padlinę,
którą to wzorem hieny smacznie może spożyć...
Nie chciałbym, Bóg mi świadkiem, takiej chwili dożyć.
Młodości, głowa w górę, krusz słabość, tęż ducha.
Młodości nie pokona żadna zawierucha.

Spis treści

SŁOWO WSTĘPNE	6
I. NIE ZNASZ POTĘGI PIÓRA	14
II. KŁADLI ŻYCIE I MŁODOŚĆ BY NIEWOLE SKRÓCIĆ	17
III. A SPRAWIEDLIWOŚĆ? – JAKAŚ DZIWNA, MGŁAWA	26
IV. NIĆ ZWANA ŻYCIEM	33
V. WCIĄŻ PRAGNĘ, SZUKAM TWEGO CIENIA	43
VI. TO KONIEC POKOJU	56



